

Marek A. Cichocki, Dariusz Karłowicz: Jamnik na weselu

Złoty róg – herb naszego dwudziestolecia – to mocny symbol nieodzyskanej podmiotowości



Bez podmiotowej wspólnoty politycznej nie może powstać republika zdolna definiować i realizować cele wewnętrzne i zewnętrzne – cele artykułowane poprzez politykę, która swoją siłę czerpie ze świadomej delegacji podmiotowych obywateli. W jej miejsce powstaje lepszy lub gorszy rynek, prawa, system przedstawicielski - przypominamy wstęp do piątego numeru "Teologii Politycznej", poświęconego zagadnieniu podmiotowości.

Dwudziestolecie naszej niepodległości domaga się metafory zdolnej unieść dziwny splot niezwyklej energii jednostek i ich politycznej niemocy. Czy znajdziemy ją w literaturze współczesnej? Może pomogą nam modne pióra, laureaci Nike? Wolne żarty. Dużo łatwiej znaleźć ją w *Weselu*, w *Ziemi obiecanej* albo w *Lalce* (najlepsze rzeczy o naszym dwudziestolecu napisano ponad sto lat temu). Oto uderzająco trafne studia wulkanicznej energii, która okazuje się niezdolna do wytworzenia politycznego spoiwa, bez którego wspólne działanie zamienia się w rodzaj zbiorowego niepokoju ruchowego; energii, która nie przekracza horyzontu tego, co prywatne; postawy prowadzącej do poddańczego marzenia o jakiejś sile, która przyjdzie z zewnątrz. Najtrafniej bodaj pokazuje to Wyspiański. *Wesele* daje obraz wspólnoty, która nie umie utrzymać mocy. Złoty róg – herb naszego dwudziestolecia – to mocny symbol nieodzyskanej podmiotowości.

Bez podmiotowej wspólnoty politycznej nie może powstać republika zdolna definiować i realizować cele wewnętrzne i zewnętrzne – cele artykułowane poprzez politykę, która swoją siłę czerpie ze świadomej delegacji podmiotowych obywateli. W jej miejsce powstaje lepszy lub gorszy rynek, prawa, system przedstawicielski. Zamożność, praworządność – to sytuacje, które mogą się tu przydarzyć, ale może przydarzyć się również bieda, rozwarstwienie, bezprawie, nierząd. Liczy się tylko to, co zrobią pojedynczy ludzie lub niewielkie stowarzyszenia – reszta jest rzeczą przypadku bądź oddziaływania jakichś makrotrendów, które popychają państwo w tę lub tamtą stronę. Atrapy polityczności oczywiście istnieją i mają się dobrze. Państwo udaje, że prowadzi politykę zagraniczną, gospodarczą, obronną, wewnętrzną, zdrowotną, edukacyjną. Jednak każdy wie, że rynek rozwija się bez celu, bez wizji i wsparcia – mimo polityki, jeśli nie wbrew niej; polityka zagraniczna to domena PR-u, niemocy i przypadku; prawo powstaje

lepsze lub gorsze, zależnie od tego, jak je ktoś akurat napisze, armia jest fikcją, zaś reprezentanci nikogo w zasadzie nie reprezentują. Polityka bowiem to świat chocholego tańca. Jak to się stało?

Czy nie zdawało się, że wystarczy niepodległość, wolny rynek, demokracja, a wówczas podmiotowość sama przyjdzie – wystarczy tylko poczekać? A tymczasem lepiej trochę podsterować zachodzącymi przemianami? Czy nie zdawało się, że proeuropejska, cywilizowana oligarchia lepiej poradzi sobie z wymaganiami czasu przemian? Że ludzi lepiej na razie pozostawić w sferze prywatnej, a ramy ich działań wymyślić bez ich udziału? Czy nie tak wyglądał grzech pierworodny III Rzeczypospolitej? Polityczny paternalizm miał przyspieszyć przemiany i, co nie mniej ważne, uchronić od przykrych przejawów podmiotowości, która przed reedukacją mogłaby się okazać nie dość *comme il faut* – bo zbyt polska, zbyt demokratyczna. Czas na podmiotowość miał więc nadejść później. Po tym, jak już dorosniemy do demokracji. Po tym wszystkim podmiotowość miała się sama pojawić. Cóż, nie pojawiła się. Nie wyszło.

Nie udała nam się republika. Nie udała nam się polityka. Ta ostatnia, jeśli wierzyć Jarosławowi Markowi Rymkiewiczowi, jest domeną toksycznych elit. O ile większość Polaków żyje już w wolnym świecie – ich odruchy i myśli wolne są od skrępowania, samoograniczenia, autocenzury – o tyle ta grupa wciąż przebywa w wymyślonym więzieniu. Mury tego więzienia okazują się tak trwałe, że chciałoby się znać materiał, z jakiego zostały zbudowane. Można by z tego robić autostrady! Byłby jakiś pożytek.

Ważną przyczynę duchowych ograniczeń naszych elit stanowią doświadczenia, które każą uznać każdą otwartą formę roszczenia do podmiotowości za niebezpieczne szaleństwo. Swoją rolę odgrywają tu, rzecz jasna, biografie – zwłaszcza te najbardziej mroczne, wstydlive historie rodem z peerelowskiego *Fausta*. To jasne. Ale nie tylko one decydują o owym duchowym ograniczeniu. Równie ważne są tutaj doświadczenia peerelowskiego jamnika, o którym tak trafnie pisał Stefan Kisielewski. Wychowani pod szafą, nawet ci najdzielniejsi i niemający się czego wstydzić nie wierzą, że sufit jest dziś dużo, dużo wyżej. Czekaają, stronią od aktywności, a na wszelki wypadek trzymają innych za poły – żeby nie podskakiwali. Bierzmy, co dają. Nie pyskujemy! W naszej sytuacji trzeba siedzieć cicho. Nic nam się nie należy. Pchać się nie wypada. W ogóle nic nie wypada. Warunki stawiać – wstyd. My, a więc panna bez posagu, biedny wuj-rezydent, pasażer na gapę, bidak z gębą po kweście, kuzyn z prowincji. Co o nas powiedzą? O, patrzcie, co o nas napisali! O, proszę, jak dobrze napisali! Za uszkiem drapią. Grzeczni byliśmy! Ojejku! Ojejejeczku! A teraz się nie spodobało! Jaki wstyd! Jaka to niezręczność wielka! Zgadzać się trzeba było, bo teraz to już na pewno wyrzucą, na mróz wyrzucą. Dlatego pilnujmy tych, którym się nie podoba. Zwłaszcza, gdy udają, że wszystko im się podoba. Wróg nie śpi... Dobrze to znamy. Czytamy to co dzień. Nieprawdaż?

Widoczne na każdym kroku rozmaite formy politycznego minimalizmu skłaniają do uznania, że historia na trwałe przetrąciła polityczny kręgosłup Polski i dlatego dzisiaj nie wolno nam aspirować do podmiotowości, jaką posiadają inne duże narody w Europie. Pozostaje sprawą otwartą, dlaczego Niemcy, którzy dokonali w XX wieku rzezi w Europie na niespotykaną dotąd skalę, mogą jednak pretendować do politycznej podmiotowości. Dlaczego mogą ją posiadać Włosi czy

Austriacy? Dlaczego mogą dobijać się o nią Rosjanie? Jamnik tych pytań nie stawia. Jamnik tańczy na weselu – jak mu zagrają, tak tańczy. Marzy o mocy, która nas porwie i przemieni. Mocy zewnętrznej. Dobrej. Serdecznej. Marzy o miękkiej kolonizacji.

Polityka nie jest mocną stroną Polski i na razie nic nie wskazuje na to, aby ta sytuacja miała się nagle zmienić. W niniejszym numerze „Teologii Politycznej” przedstawiamy blok opracowań socjologicznych, które mogą wskazywać na istnienie wciąż silnego ośrodka polskiej tożsamości. Specyfika polskiego doświadczenia transformacji pokazuje bowiem, że negatywnie weryfikuje ona popularne schematy sekularyzacji. Mamy wrażenie, że lukę po polskiej polityczności wypełnia Kościół. Nie w tym sensie, że biskupi zastępują ministrów (co może nie byłoby takie złe – bo czy Episkopat nie jest jedynym podmiotem zdolnym wybudować autostrady? Któż poza nim w Polsce posiada zdolność planowania wykraczającego poza horyzont jednej kadencji...? Ale zostawmy te gorzkie żarty). Chodzi o to, że katolicyzm stał się w Polsce zasadniczym spoiwem rozsadzanej przez przemiany wspólnoty, że stworzył metapolityczne ramy tych przemian, opisał je językiem wiarygodnym i osadzonym w polskim doświadczeniu duchowym. Niedoskonale? Zgodna! Jednak czy ktokolwiek zrobił choć tysięczną część tego, co zrobił Kościół, Jan Paweł II, biskupi, katecheci, kaznodzieje czy duszpasterstwa i organizacje dbające o rozwój duchowy setek tysięcy ludzi?

Socjologia jest na to, jak zwykle, ślepa. Czy ktoś pytał o chrześcijańskie inspiracje postaw służących rozwojowi i solidarności? Jaki procent polskich dzieł społecznych i charytatywnych powstaje z inspiracji innej niż chrześcijańska? Z naszych doświadczeń wynika, że niewielki. Czy nie wokół polskich parafii kwitnie najbujniej polski republikanizm –

zwany z cudzoziemska społeczeństwem obywatelskim? Kto policzy koła charytatywne, chóry, hospicja, centra kryzysowe, domy samotnych matek, działające w polskich parafiach albo w ich bezpośredniej bliskości? Czy ktoś je w ogóle liczy? Czy ktoś badał wpływ konfesjonatu na polskie życie gospodarcze? Znamy wielu przedsiębiorców, którzy płacą podatki i dotrzymują umów, bo wiedzą, co to bojaźń boża – i ani jednego, który by znalazł fundament moralny w podręcznikach etyki biznesu pisanych przez rodzimych antyklerykałów i postępówców.

Ciekawe, że badania pokazujące silny i jednoznacznie pozytywny związek między transformacją, postawami prodemokratycznymi i prorynkowymi a katolicyzmem nigdy nie wywołują zainteresowania mediów. Sekularyzacyjny przesąd tak silnie tkwi w głowach naszych elit, że nie mogą uwierzyć oczywistościom. Teoria ta, której – jak pokazujemy w tym numerze pisma – nie sposób już utrzymać (zwłaszcza w jej dawnej, dogmatycznej wersji), głosiła, że warunkiem upragnionej modernizacji musi być postępujące zeświecczenie. Tezę tę w Polsce uważano za pewnik i z nadzieją wypatrywano oznak nadciągającej sekularyzacji. (Wystarczy zajrzeć do codziennych gazet, żeby przekonać się, iż wielu wierzy w nią do dziś!). Rektor pewnego seminarium duchownego opowiadał nam kiedyś, jak to co roku dzwonią do niego dziennikarze, pytając z nadzieją: „Liczba powołań zmalała?“, i zawiedzeni odkładają słuchawkę, gdy okazuje się, że nic się nie zmienia. Wiara w konieczność wspomnianej prawidłowości była tak silna, że pewna uczona pisała nawet o „ujemnej sekularyzacji”, co śmiało ubiegać się może o tytuł perły w obszernej przecież kolekcji przykładów deterministycznej ciemnoty polskiej socjologii. Być może jest to najlepszy dowód na to, że w tezie o koniecznym związku między modernizacją a sekularyzacją nie o modernizację chodziło tak naprawdę, ale o spełnienie nadziei na zniknięcie Kościoła. Kto wie? Z pewnością teza, że modernizacja będzie możliwa wtedy, gdy

opustoszeją kościoły, nie okazała się trafna. Przeciwnie. Nadziei na obudzenie się polskiej podmiotowości upatrywać można w solidarnościowym republikanizmie, który widać dziś głównie (choć, rzecz jasna, nie tylko) wokół polskich parafii i klasztorów. Może tu znajdzie się złoty róg?

Paradoks polega na tym, że transformacja i modernizacja dokonują się wbrew znacznej części elit. Te, zajęte zwalczaniem Kościoła, osłabiają główną sprężynę modernizacji. Polski Kościół, choć inaczej niż sugerował to swego czasu Jan Maria Rokita, poparł Polskę w jej drodze do nowoczesności. Inaczej, bo szczęśliwie nie stało się to poprzez zaangażowanie Kościoła w polityczne poparcie przemian i nie skończyło się żadną formą instrumentalizacji (ani immanentyzacji) transcendencji. W obecnym stanie rzeczy antykościelne elity polskich modernizatorów przypominają zapomnianego wicepremiera Henryka Goryszewskiego, tyle, że *à rebours*. Pan premier głosił, że woli nawet Polskę ubogą, byle katolicką. Nasi drodzy modernizatorzy chętnie zobaczą Polskę ubogą, byle tylko nie katolicką. Jak mówią Francuzi, „ekstrema się spotykają”. Prawda to dobrze znana i nienowa, ale za każdym razem, gdy się ją odkrywa – zabawna.

Marek A. Cichocki, Dariusz Karłowicz